

Nazywam się Stanisław Ostromecki, urodzony na Polesiu na kresach wschodnich 17 stycznia 1922 r. w rodzinie małorolnej. Tatuś po wojsku postąpił w 1923 r. na pracę państwową jako dróżnik na trasie Warszawa-Moskwa, to jest na carskiej drodze bitej.

Z początku mieszkaliśmy na wsi, a w siódmym roku życia, kiedy miałem iść do szkoły, przyjechaliśmy do Kobrynia (dostaliśmy przeniesienie). Tam uczęszczałem do szkoły podstawowej i do szkoły średniej. W 1939 r., w chwili napaści Niemiec hitlerowskich na Polskę, a 17 września przyjscie Armii Radzieckiej, byliśmy pod panowaniem bolszewickim. Tatuś nadal pracował, ale był bardzo często wzywany na przesłuchania, przeważnie w nocy. Do mnie nie mieli żadnych pretensji w tym czasie.

W 1941 r. z chwilą napaści Niemiec hitlerowskich na Związek Radziecki dostaliśmy się pod okupację niemiecką. Tatuś nadal pracował na tym samym stanowisku, w tym samym mieszkaliśmy mieszkaniu; miałem brata i dwie siostry, młodsze ode mnie. W 1942 r. w lutym zostałem zaprzysiężony (1 lutego) do Związku Walki Zbrojnej (później AK), przez księdza ojca jezuitę Wacława Jadziwicz^e, który miał parafię w Horodcu niedaleko Kobrynia. Moją pracę polegała wtenczas na tym, by organizować pierwszy oddział polski na tych terenach, bo na Wileńszczyźnie, jak też na Ukrainie, tej dawnej przedwojennej, to były silne oddziały polskie, a u nas tutaj nie było żadnego oddziału. Ale niestety jeden załęczek oddziału został zlikwidowany przez Armię Czerwoną, tzn. przez partyzantkę "czerwoną".^{Dmgi podobnie.} Dopiero trzeci- po porozumieniu z oddziałem Czernaka (dowódcy partyzantki radzieckiej, który działał na tym terenie) dopiero samodzielny oddział jako trzecia polska kompania dowodzona przez por. Wojciecha Zbiluta pod pseudonimem "Jur", a który miał nazwisko osłonowe Zbigniew Karlicki, zastępcą jego był Edward Hapohkowski, pseudonim "Kmicic" (osłono-

we imię i nazwisko Edward Korniłowicz).

W tym oddziale byłem w grupie dywersyjnej do lipca 1944 r. Wypełniając zadanie od oddziału, 19 lipca 1944 r. zostałem po stronie radzieckiej (bo front przeszedł w kierunku Polski centralnej). W tym czasie mój brat pozostał w oddziale, w grupie głównej tej, która przeszła na tereny obecnej Polski Rzeczpospolitej. W październiku 1944 r. zostałem aresztowany, tzn. wezwany niby na przesłuchanie i zatrzymany. Wypytywano o współpracę z AK. Ja udawałem, że nie wiem co to AK, co to za twór, bo tylko wiem, że pracowałem z oddziałem Czernaka Armii Radzieckiej. Powołałem się na jego dowódcę, na zastępcę. Dochodzenie trwało siedem miesięcy w Brześciu, w suterynach. Nie byłem bity, ale to było męczące, że nocami przeprowadzano dochodzenie i wiosną 1945 r. zostałem wywieziony bez sądu, bez orzeczenia, bez niczego w Zagorki za Moskwę na wyrąb lasu. Obóz miał tragiczny wygląd. Pierwsze wrażenie, kiedy ze stacji Suchobezwodny z głównego punktu wywozili nas do obozu, to jak się jechało po drodze nie było żadnych osiedli tylko same obozy. Ile to było kilometrów nie pamiętam. Obóz w głębi tajgi ogrodzony był drutami, zasiekami. Stały tam takie podwyższenia zwane "wyżkami", na których patrole czuwały dzień i noc. Naokoło obozu chodziły też z psami. Kiedy doprowadzono nas do obozu, pierwsze co zrobili to rewizję. Jak nawet miałeś suchara to ci go zabrali. Wyżywienie było okropne. Jeśli w zupie się znalazło pół kartofla w mundurkach, czy ćwiartkę to dobrze. Reszta to była drobna ryba solona, latem przeważnie pokrzywa lub lebioda, zimą to taka kapusta, która nie nadawała się do jedzenia. Mięsa w ogóle nie było. To było tuż po wojnie, 45-46 rok stąd warunki były bardzo trudne. Dużo ludzi umierało z głodu. Ja przetrwałem, bo tylko 16 miesięcy tam byłem. Pracowałem tam w bardzo trudnych warunkach. Była to tajga, w której ludzka stopa jak widać nigdy

nie była. Trasa była przez więźniów wyrąbywana. Układano tory kolejowe, a następnie wyrąbywano miejsca na stawianie baraków i wtedy przywożono nowych więźniów. Nie spotykałem tam politycznych tylko przeważnie za złodziejstwo, za jakieś nadużycia i to Rosjan nie albo narodowości, które tam (w ZSRR) mieszkały. Wyroki przychodziły z Moskwy z tzw. "trojki" (zaocznie sądzone). W tym czasie były wyroki od pięciu do dziesięciu lat. Ja w tym czasie wyroku nie otrzymałem, ale jesienią w październiku 1946 r. po dwóch latach (śledztwie 7-miesięcznym i 16-miesięcznym przeszło pobycie na wyrąbie lasu) zostałem przewieziony na punkt przejściowy i zwolniony do domu dokumentem potwierdzającym, że po przerwaniu dochodzenia nie było udowodnionej winy. Tak, że po dwóch latach w październiku 1946 r., wróciłem przez Gorki, Moskwę do Kobrynia - miejsca zamieszkania. Tatusz w tym czasie był aresztowany za to, że pracował na tej trasie za Polski sanacyjnej, pracował za przyjscia bolszewików, pracował za okupacji (niemieckiej) i pracował jak oni znowu przyszli. W grudniu 1944 r. po moim już aresztowaniu, zostałem aresztowany i mieli żal, dlaczego ulepszał drogę. Zarzut był taki, że ulepszał drogę dla Niemców, żeby mogli lepiej bić komunistów. Dlaczego nie poszedł do lasu? Ojciec mówił, że przecież dwóch synów było w oddziale. Nic to tłumaczenie nie pomogło. Dochodzenie trwało dwa lata. Po dwóch latach przedstawiono dwóch fałszywych świadków, z których jeden stwierdził, że zostałem pobity i wyzwany od komunistów, jak pracowałem na drodze u ojca, a drugi świadek (Białorusin) stwierdził, że u ojca pracowała grupa Żydów w swoim czasie póki nie została zlikwidowana, że pobili też Żyda za to, że ten odpoczywał i nie chciał pracować. Na podstawie orzeczeń tych dwóch świadków ojciec dostał dziesięć lat łagrów (pracy przymusowej). Po moim powrocie z tajgi syberyjskiej ojciec, pomimo, że dochodzenie trwało już dwa lata, nie był jeszcze sądzony.

Nadal był przetrzymywany w podziemiach w Brześciu. Z pewnego źródła dostałem wiadomość, że ojciec będzie sądzony. Nie zostało to publicznie ogłoszone. Kiedy przyjechałem nie wpuszczono mnie na salę. Oczekiwałem na ulicy przed budynkiem i po wyprowadzeniu ojca, po tym sądzie przy drzwiach zamkniętych, kazano mi przejść na drugą stronę ulicy. Nie pozwolono mi ani powitać się, ani pożegnać z ojcem. Kiedy znalazłem się po drugiej stronie ulicy to ojciec mi pokazał, tak pod gardłem, dwa razy palcami. Uświadomiłem sobie, że ojciec chce popełnić samobójstwo. Zawołałem dosyć głośno, żeby się opamiętał i nie czynił nic złego. Jak się potem okazało był niedaleko, w okolicy Orszy. A, że był sterany i życiem i dwuletnim wyczekiwaniem na sąd znalazł się w inwalidzkim obozie. Wyrugiwali tam z drzewa łyżki dla użytku obozowego. Odbył cały wyrok to znaczy 10 lat(8 lat w obozie i doliczono mu dwa lata dochodzenia). Kiedy mógł już napisać z obozu to napisał, że dostał 10 lat czyli, to co pokazywał ręką to był wymiar wyroku. Wrócił bardzo słaby, zęby mu powypadały, ale dożył 75 lat i w 1973 r. zmarł w Kobryniu. Tam został pochowany.

W 1948 r. była obława w naszej miejscowości na byłych akowców i znowu popadłem tym razem na pięć dni tylko. Tak przypadkowo mnie wzięli. Jednego kolegę z tego mieszkania, gdzie ja byłem w tym czasie, zabrali. I znowu pytali o AK. Nie przyznawałem się, bo żadnych nie miałem na to dokumentów, i po pięciu dniach zostałem wypuszczony. Na tym nie koniec, bo w 1948 r. w grudniu, jak się potem okazało, że jednych z naszych ludzi, który także został aresztowany(a był w tym oddziale) i nie wytrzymał. Po tak zwanej wysypie zostałem aresztowany. Śledztwo trwało bardzo krótko, bo tylko do lutego. W lutym był sąd, dostałem dziesięć lat za to, że należałem i nie przyznałem się, bo żadnej winy nie mogli mi udowodnić. Wyrok brzmiał: 10 lat pozbawienia wolności, pracy przymusowej i to

w łagrach specjalnego reżimu i pięć lat zsyłki po tym wyroku. W kwietniu zostałem wywieziony przez Orszę do Workuty. Byliśmy wiezieni w wagonie, takim specjalnie okratowanym, tak zwanym stołypinowskim, tylko, że w przedziale na osiem miejsc było nas 34 osoby. Przepełnienie duże, dosłownie nago jechaliśmy tak gorąco było. Wody nam nie podawano, a tylko słoń rybę i kromkę chleba dziennie. Transport z Orszy do Workuty trwał dwa tygodnie.

W czasie trzeciego aresztowania, to jest w grudniu 1948 r. nastąpiło grupowe osadzenie (34 osoby). Kogo z tej grupy pamiętam? Terpikowski Leonard, Daszkiewicz Zbigniew, Teleman Zofia, Teleman Edward, Komorowski Jan, Komorowska Regina, Ratajczak, Terpiłowska Halina, Chomziuk Piotr, Witold Jachokowski, Janina Komarowska, Tadeusz Lisowski, Marian Olszewski, Alina Paprocka, Zygmunt Sokołowski, Stanisław Siergiej, Julian Cerpejkowicz, Jerzy Styczyński a matki i ojca (też byli w tej grupie) nie pamiętam, Witold Ignatowicz (został zastrzelony w okresie strajku w Workucie na 29 kopalni) Eugenia Przyłucka, Władysław Trzeciak, Leokadia Jurkowska i jej ojciec Jurkowski, ks. Józef Horodeński, ks. ojciec Jaziewicz Wacław (jezuita), ks. Stanisław Łazar i ks. Rosiak, Stachowicz Stanisław jego brat Zygmunt, Tala Ordeńska, a na 40 kopalni zginął brat jej Ordeński (imienia nie pamiętam), który w ucieczce z jeszcze jednym kolegą (nazwiska nie pamiętam) jest pochowany na 40 kopalni w Workucie, Tadeusz Bałazy i Edward Hapońkowski.

W Workucie IV Rejonie na VI kopalni węgla kamiennego byłem od maja 1949 r. do 1956 r.. Z tym, że w 1954 r. jesienią zostałem zwolniony z obozu, ale nie miałem prawa wyjazdu, tak zwane "depozycje". Zmniejszono też wyrok na pięć lat i z uniewinnieniem na co mam dokumenty Wojennego Trybunału Wojsk Białoruskich NKWD, który przyszedł na miejsce zamieszkania w IV Rejonie w Workucie. Obóz w Workucie to był stary obóz po "katorżanach" jeszcze niektórzy z nich byli, których miejsce my zajeliśmy. Nosiliśmy te same numery na plecach

kolanie jak też lewym ramieniu. Baraki pobudowane były w lepszym stylu tyle, że zakratowane, pozamykane na klucz. Baraki miały dwa skrzydła z wejściem pośrodku. Tam stał duży drewniany ceber do zakatwania się, a na wprost była tak zwana "suszyłka" to znaczy miejsce, gdzie był piec, przy którym suszyło się ubrania. Kopalnia była mokra, trzeba było więc suszyć ubranie, onuce, spodnie, Otwierało się okna, żeby to wywietrzyć, bo powstawało dużo pary, Nary były niętrows. Po jednej i drugiej stronie pawilonu (baraku).

Wyżywienie było dużo lepsze w porównaniu z obozem w Sucho-bezwodno w tajdze. Czasem popadł kawałek mięsa, ryba, a za wypełnienie planu dodatkowo kasza zapiekana. Była to gęsta kasza wylana na blachę pokrojona na koskę. Traktowano ją jako wynagrodzenie za lepszą pracę. Brygady starały się dostać takie kostki na drugie danie.

Praca w kopalni była na trzy zmiany. W kopalni węgla był metan, który stwarzał duże zagrożenie. W pracy obowiązywało wypełnienie planów. Gdy plan nie został wypełniony to, jak to się mówi, czysta repeta, a jak wypełniono plan czy wydobyto dodatkowe tony węgla to w nagrodę była tak zwana "zapiekanka" przeważnie z kaszy jęczmiennej,

Kiedy wychodziliśmy na posiłek otwierano baraki. Po posiłku wracaliśmy na bramę do wyjścia na kopalnię, z kopalni znowu powrót do stłówki. Po spożyciu posiłku do baraku i znowu byliśmy zamykani na klucz.

Pisać mogliśmy tylko dwa listy do roku. Cenzura sprawdzała. Jak napisało się w styczniu czy w lutym to do czerwca nie można było już napisać listu. Listy otrzymywaliśmy bardzo wzdanko dlatego, że od nas mało ich wychodziło. Przy tym bardzo dużo było zakreśleń, tak zamazane, że w ogóle nie można ich było odczytać. Widzeń żadnych ani też pieniędzy nie otrzymywaliśmy. Dopiero po śmierci Stalina. Na apele nie wzywano nas nazwiskami (mieliśmy

numery, które nosiliśmy na czapce, na plecach, na kolanie i na ręku) lecz według numerów.

A jak wyglądała higiena, opieka zdrowotna ?

Były łaźnie. Na kopalni nie trzeba było drugi raz iść dlatego, że po każdym wyjściu z kopalni należało się umyć. Pomimo, że kopalnie były wilgotne tam, gdzie się kruszyło węgiel, było dużo pyłu. Każdego dnia się myło. Pracowało się na okrągło, nie było wolnych sobót i niedziel. Tylko tyle, że te dwie zmiany spędzało się w baraku (spało się).

Warunki klimatyczne: od maja słońce nie zachodziło w ogóle, to znaczy dochodziło do horyzontu. W jasny pogodny dzień, co w maju było częstym zjawiskiem, to pół tarczy słońca wchodziło niby w horyzont i z powrotem wracało na około. Tak było przez maj i czerwiec. Potem stopniowo to słońce nie dochodziło do horyzontu. A pod koniec września i w październiku, od godziny dwiętej do czternastej, to był tak zwany dzień, a reszta to noc polarna. Przez całą zimę trwała. Nieraz były bardzo jasne, tak, że nieraz można było czytać przy zorzach polarnych. Mróz tam był taki, że jak się splunęło to zaraz zamarzało, Jak byliśmy to najwyższy mróz wynosił 45 stopni. Przed naszym przyjazdem parę lat wcześniej to były takie zawieje, że do kopalni po sznurze doprowadzali, bo można było zbłądzić z trasy. A w tym czasie co ja byłem to już nie było takich zawiej.

A jakie były choroby w obozie, jaka była śmiertelność? Jaka opieka zdrowotna nad chorymi?

Śmiertelności z powodu chorób nie było na ogół. Tylko wypadki były. Pod względem BHP było kiepsko. Nawet w pierwszym dniu, w czerwcu, jak nas prowadzili na kopalnię, jak doszliśmy do szybu to akurat trupa wywozili stamtąd. To było przykre wrażenie, którego długo nie dało się zapomnieć, widząc tego zmasakrowanego górnika.

W naszej brygadzie to był tylko jeden wypadek (w okresie od czerwca 1949 do 1956 r.). Chorób zakaźnych w tym czasie nie było. A jak wyglądała opieka nad ludźmi, którzy przeszli wypadki? Jak człowiek nie nadawał się do pracy, to po wyleczeniu pozostawał w baraku. Był dyżurnym nie pracował, ale do domu go nie zwolniono.

Czy był w obozie szpital, lekarze?

Byli lekarze przeważnie spośród więźniów. Już po otwarciu baraków był także zespół artystyczny, kolega jeden grał na akordeonie. Nawet drużyna piłkarska była.

Jaka była postawa nadzorców?

Nie mieli prawa wchodzić z bronią na teren obozu. Jak były jeszcze baraki pozamykane najbardziej męczące było przeliczanie. Czy nie umieli liczyć, czy celowo przeliczali i przeliczali, ten alarm trwał, trzeba było stawać do zbiórki, obliczali, a to się nie zgadzało, a to od nowa. Jak do pracy wyprowadzali to trzeba było ręce do tyłu, nie wolno było rozmawiać, nie było popychania, pobicia. W czasie strajków nie było znęcania. Wychodzili, namawiali, ale żeby siłą zmuszać do wyjścia, to nie było takich przypadków. Już po śmierci Stalina zupełnie inne było podejście nawet naszych strażników.

W tym obozie, kiedy pierwszy raz aresztowany byłem politycznych i Polaków bardzo mało było. Natomiast w Workucie była istna wieża Babel bo było bardzo dużo Łotyszów, Estończyków, Litwinów, Ukraińców, sporo Niemców, Polaków. Byli też Gruzini i inne narodowości. W każdej brygadzie było trzech czterech Ukraińców, dwóch Polaków, czterech Niemców, pięciu Litwinów, czterech Łotyszów, Estończyków i innych narodowości.

A jak się wam układały stosunki z więźniami z innej narodowości?

Po utworzeniu baraków zauważyła się, że największymi naszymi wrogami byli Ukraińcy, częściowo też Litwini, ale Łotysze, Estończycy owszem byli na równi z Polakami.

Z Niemcami nie mieliśmy żadnych kontaktów. Z innymi narodowościami w jednej brygadzie pracowaliśmy w jednym baraku żyliśmy.

Po śmierci Stalina zaczęły się strajki w kopalniach w Workucie tak zwane włoskie. Wychodziliśmy do pracy, ale nie pracowaliśmy. Kogo zmusili zjechać na dół to był na dole, ale nie pracował. Wtedy z Moskwy- nie pamiętam kto był z tych głównodowodzących- przyjechali na rozmowę z nami. Co się stało? Na naszej kopalni też byli. Pokazaliśmy nasze warunki, nasze możliwości pisania listów, kontaktu z rodziną. Brałem udział w strajku w Workucie, ale nie byłem jego inspiratorem. Już nie pamiętam daty, wiem tylko, że to było lato. Mieliśmy wyjść na drugą zmianę. Otworzyli nam barak, poszliśmy do stołowej, zamiast do niej zauważyłem że większość ludzi nie idzie w kierunku wartowni, aby wyjść na kopalnię, ale do baraku. To i ja razem z nimi. Przyszli strażnicy mówiąc, żeby wyjść. Nie chcieliśmy zatargu poszliśmy zobaczyć co się dzieje na kopalni. Przychodzimy na kopalnię, okazało się, że pierwsza zmiana nie pracowała. My też nie podjeliśmy pracy. Podobnie i trzecia zmiana, która nas zmieniła. Do kopalni było około 600- 700 metrów od baraków, od obozu. Potem było dochodzenie między innymi i ja byłem przesłuchiwany i zabrany z tej kopalni na inną. Starali się wykryć (co się nie udało) sprawcę organizatora strajku. Wywalczyliśmy sobie widzenia, pisanie listów, kontaktu z rodziną i najbliższymi. Czy uczestników spotkały represje?

Przy strajku jeden z naszych został zastrzelony. To był kolega z tej samej miejscowości co ja. Prawdopodobnie nie z jego winy. Tłumaczono, że za blisko podszedł pod tą "zapretnozoną". Tylko że on ostatnio nie pracował na naszej kopalni. Chciał się dostać na siódmą kopalnię, gdzie był jeden kolega, który jego i i wielu zdradził i chciał go przy pomocy kolegów takich jak on

sam zlikwidować. Był na naszej kopalni (to była szósta) obok siódemki i prosiłem go, żeby został, bo tamtego Pan Bóg osądzi, ale on wziął to sobie do głowy. Młodszy był ode mnie o siedem lat i był zapalczywy, w tym czasie znalazł się na 27 kopalni na tę siódemkę w ogóle nie popadł, i tam strażnicy go zabili za to, że za blisko podszedł do zony oddzielającej więźniów od zasieków. A ten drugi z 42 kopalni ginie w czasie strajku. Chciał uciec.

Zmówiło się dwóch. Jeden to z Brześcia Ordeński Jarek z 40 kopalni. Opowiadali koledzy, którzy byli z tej kopalni i widzieli potem te dwa trupy. Więc udało im się uciec z obozu, ale daleko nie odeszli. Kilkanaście kilometrów w tundrze wysłedzili ich helikopterem, zastrzelili a trupy położyli przy bramie z dużym napisem, że za ucieczkę. Trzy dni leżały pod tą bramą. Tam też ich pochowano. Koleżanka ma zdjęcie ich grobów z Warkuty.

Po słynnych strajkach workucich, kiedy baraki były potwierane można się było poruszać po terenie całego obozu. Jak już pisać listy to nawet codziennie. Można też było przyjeżdżać czy to rodzicom, żonom, dzieciom, czy narzeczonym, Kto tego chciał mógł przyjeżdżać. Widzenia były w specjalnym baraku. Przy tym obecny był nadzór, który w odległości kilku metrów siedział na nasłuchu.

Mogliśmy się też spotykać w wolnym czasie. Wtedy też poznaliśmy księży : dwóch pochodzenia polskiego, jednego Łotysza, jednego Litwina. Ci potajemnie odprawiali msze, słuchali spowiedzi. Mogliśmy zatem skorzystać z posługi pasterskiej. Księża byli traktowani jak inni. We mszy uczestniczyliśmy nielegalnie w nocy bez światła. Brali w niej udział tylko zaufani ludzie (np. mnie kolega zapoznał, potem ja zapoznałem takiego jednego zaufanego). Opłatki były w puszkach po konserwach. Początkowo robiło się je z mąki, którą się otrzymywało. Samemu upiekło się placek albo chleb. Potem przysyłano opłatki.

Natomiast wino było z winogronów, albo z wyciskanego soku. Więźniowie innych narodowości na ogół nie wiedzieli o tym. Czy więźniowie pomagali sobie nawzajem ?

Kiedy zaczęły odwiedzać nas rodziny i otrzymywaliśmy paczki to wtedy owszem tak. A po wyjściu na wolne posiedzenie to tam były przeważnie rodziny z Wołgodonu, osiedleńcy pochodzenia niemieckiego, którzy przybyli tam jeszcze przed naszym przyjazdem. Nie byli oni do nas specjalnie ustosunkowani. My tylko w swoim gronie potrafiliśmy stworzyć warunki do życia i egzystencji. Nas np. było sześciu w jednym pokoju, w baraku na wolnym posiedzeniu.

Dojeżdżając do Worskuty drzew żadnych nie było tylko krzewy podobne do naszej żozg, wierzby drobnej, wzrostu człowieka. Przy samej Worskucie tych krzewów było mniej, tylko trawa. Ludność, która mieszkała w okolicach Worskuty to była pochodzenia koczowniczego. Latem i zimą jeździła na zaprzężnięte w renifery albo psy saniach. Nie potrzebowała dróg. Przechodzili przez tory, szosę bitą w Worskucie między rejonami. To byli tak zwani Kałmyki. to jest Komiya SSSR, miasto Sytuutkwar?

A jak oni traktowali więźniów?

W okresie wojny, jak to się mówi, to sprzedawali więźniów (tych, którzy uciekali) dosłownie za worek maki. Nie byłem świadkiem tego, ale taka panowała opinia, że nie warto ryzykować ucieczką bo tamten naród, to potrafił sprzedać człowieka.

Jak traktowano kobiety w obozie ? Czy były jakieś śluby obozowe ?

Z tych obozów na Worskucie to był tylko jeden obóz kobiecy i to w samym mieście Worskucie. W tych obozach gdzie my byliśmy żadnych kobiet nie było. Czasami kobiety widzieliśmy przez druty. Były to mieszkanki z wolnego posiedzenia pochodzenia niemieckiego. Jak wyszliśmy na tak zwane posiedzenie, jeszcze bez prawa

wyjazdu w swoje rodzinne strony, to jeden z kolegów mieszkający razem ze mną w baraku zapoznał jedną dziewczynę ze Stanisławowskiego, która była w obozie kobiecym w Workucie. W czasie odbywania wyroku zaszła w ciążę z Rosjaninem, który był jej pracodawcą. Sądziła, że tak jak inne koleżanki, które zaszły w ciążę, wypuszczali za druty i ona wyszła. Urodziła dziewczynkę i żyła na wolnej stopie. I wtedy ożenił się z nią mój kolega. Zaszła znowu w ciążę i była już w ostatnim miesiącu ciąży, gdy przyszło dla niego zwolnienie. Ona mogła wyjechać już wcześniej, ale ze względu na męża była z nim w Workucie. A ten dostał zwolnienie po dziesięciu latach odbycia wyroku, anulowano mu też wolne posielenie (był to były akowiec armii wileńskiej). Ona odwiedziła ojca i macochę (matka jej już nie żyła). Udało mu się i przyjechali do kraju do Łodzi, gdzie byli jego rodzice. Obecnie dalej mieszka w Łodzi. Odwiedzałem ich. Córka z Nataszy jeszcze w Workucie została ochrzczona na Jadwigę wstąpiła do zakonu. Obecnie jest w Stanach Zjednoczonych koło Nowego Jorku. Prowadzi tam oazy na wzór polski i nie tylko uczęszcza tam Polonia, ale nawet Amerykanki.

Czy ktoś pozostał w Workucie ? Nie wrócił do Polski ?

Z tych co ja znałem wszyscy wrócili. Tylko słyszałem, że nasza kopalnia od wybuchu metanu została zniszczona w kilka lat po naszym wyjeździe. Może w tym wypadku ktoś zginął, ale trudno mi powiedzieć kto.

Dopiero w marcu 1956 r. dostałem możliwość powrotu na swoje miejsce zamieszkania i wróciłem do Iobrynia. A, że miałem przed aresztowaniem narzeczoną obecną żonę, więc wróciłem w marcu a w kwietniu braliśmy ślub. Urodził się nam tam syn Wiesław w 1957 r., a pod koniec 1958 r. była tak zwana dodatkowa repatriacja. Niktórzy nie wierzyli w to, sądzili, że to podstęp. My zaufaliśmy, zapisałem się z żoną i przyjechaliśmy 24 czerwca w 1959r.

(żona w dziewiątym miesiącu ciąży, w Lublinie urodziła się córka) do Białej Podlaski. Tam spotkał nas brat, który był w wojsku majorem. Jak się okazało, kiedy chcieli ich przydział z oddziału trzeciej polskiej kompanii do Armii Czerwonej, to Polacy odmówili, no i byli w armii Berlinga. Jak brat wrócił, po wojnie w stopniu sierżanta, w Krakowie ukończył Szkołę Oficerską i w tym czasie, jak myśry wracali w 1959 r. był w stopniu majora.

Wszystkich nas kierowali na zachód pomimo, że w 1959 r. nie było tam miejsca. Poniemieckie tereny były zajęte, ale tam wszystkich kierowano z Białej Podlaski. Pomógł brat. Kiedy podpisał, że ubezpiecza mieszkanie nas skierowano do Lublina, gdzie dotąd mieszkam. Nie miałem wykształcenia. Po przyjeździe do Lublina przyjąłem pracę konduktora w Komunikacji Miejskiej. Po paru latach zaproponowali mi kontrolera. Byłem bardzo krótko, bo nie odpowiadała mi praca w kontroli i przeszedłem do dyspozytorni. Dwadzieścia lat przepracowałem w Komunikacji. Zachorowałem na serce, chorowałem pół roku i dostałem drugą grupę inwalidzką i przeszedłem na rentę inwalidzką. W związku z tym, że należałem do ZBOWID-u (bo mam dokumenty z pobytu w Armii Krajowej. Jak już można się było ujawnić, to i ja się ujawniłem) pięć lat wcześniej mogłem przejść na emeryturę, i tak automatycznie po chorobowym i do dzisiaj jestem już dziesięć lat na łaskawym chlebie.

Czy posiada Pan jakieś dokumenty z zesłania ?

Tak posiadam : z kursów na motorniczego elektrowozu w kopalni węgla, który ukończyłem 28 lutego 1951 r. Po 28 marca 1951 r. zdawałem egzamin i otrzymałem świadectwo, jak też drugie świadectwo ukończenia majstrów górniczych (po polsku- sztygar) na kursie od drugiego kwietnia 1952 r. do 19 września 1952 r.. Otrzymałem świadectwo prowadzenia robót górniczych w transporcie.

Posiadam też tekst skargi, którą pisałem za niesprawiedliwy wyrok, na którą dostałem odpowiedź adresowaną na Workutę, którą przeczytałem : P Prokuratura Wojskowa Białoruskiego Okręgu Wojskowego z 19 sierpnia 1955 r. za numerem 7412, miasto Mińsk, obwiniony Stanisław Ostomecki syn Antoniego, miasto Workuta, IV rejon, dom 44m. 8.

W związku z Waszą skargą komunikuję, że na skutek sprzeciwu Prokuratura Wojskowa Białoruskiego Okręgu Wojskowego wyrokiem Trybunału Wojskowego z dnia 15 kwietnia 1955 r. wyrok Trybunału Wojsk Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w stosunku do Was został zmieniony. Wymiar kary na podstawie artykułu 73 ustawy BSRR został Wam obniżony do pięciu lat pozbawienia wolności, bez pozbawienia praw i na mocy artykułu szóstego ukazu z dnia 27 marca 1953 r. o amnestii Wy uważani jesteście jako niekarani. Zastępca Prokuratora Wojskowego pułkownik sprawiedliwości Kaczan."

Czy posiada Pan jakieś zdjęcia ?

Tak posiadam z wolnego posielenija z okresu Świąt Bożego Narodzenia przy choince z kolegami, jak też z Wielkanocy, jak też w mundurze górnika i na tle VI kopalni, na której pracowałem.

A inne dokumenty ?

Mam tak zwaną książkę pracy wystawioną w Workucie, jak też kartę repatriacyjną wystawioną po powrocie W Białej Podlasce w 1959 r. 24 marca.

Pod koniec 1965 r. otrzymałem tu w Lublinie kopertę poleconym listem wysłaną z Wierhowno Suda Białoruskiej SRR, w której piszą, że rozpatrywano moją sprawę 15 października 1965 r. i sąd, który był 15 lutego 1949 r. (wyroku żadnego nie podają), że żadnego przestępstwa nie popełniłem więc sprawa została ułaskawiona i w podanej sprawie nie jestem sądzony.

Duże przeżycie miał tatuś. Wezwany został przez policję

miejsców i zapytany- gdzie syn ? Ojciec zaniemówił. Przecież po repatriacji wyjechał razem z rodziną, a tu pytają gdzie syn. Sądzik, że coś się stało, poszukują. Kiedy po raz drugi zapytano, gdzie syn musiał powiedzieć, że w Polsce. "My wiemy, że w Polsce tylko jaki adres ? "

Ojciec - jak mi potem pisał w liście, zresztą odwiedzaliśmy się- podał adres lubelski, ale nie wiedział czy to dobrze.

Potem okazało się, że przyszedł ten list polecony z Mińska, do Lublina z takim usprawiedliwieniem. Ale pomimo tego, żadnego odszkodowania nie dostałem ani wtenczas ani dzisiaj.